Nr. 30. We Lwowie dnia 25. lipca 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

KORZON.

WEWNĘTRZNE DZIEJE POLSKI

za Stanisława Augusta.

TOM II. (WYDANIE DRUGIE).

Tom drugi „Wewnętrznych dziejów Polski" poświęcił p. Korzon życiu społecznemu, ekonomicznemu, administracyjnemu a nawet w pewnej części politycznemu miast królewskich. Jeżeli w powtórnem wydaniu swej pracy nie udało się jeszcze autorowi wyczerpać w zupełności przedmiotu, to jednakże zdołał zgromadzić niezwykle bogaty i ciekawy materjał, który oświetla znakomicie dzieje mieszczaństwa polskiego za panowania Stanisława Augusta. Spotykamy się też w tomie drugim z doniosłemi wiadomościami, dotyczącemi handlu, kupców, bankierów, przemysłu i sprawy miejskiej, a w końcu znajdują się przypuszczalne obliczenia ogólne bogactwa narodowego.

Autor ropoczyna tom drugi od przypomnienia, że dawniej wśród narodu polskiego nie wygrodziła się szlachta potężnymi przywilejami i życie narodowe rozwijało się podług praw natury. W wieku też XIV i XV słynęli z bogactw kupcy krakowscy i prowadzili handel na własnych okrętach z Antwerpią, Brugge, Flandrją i Hiszpanją. Ale już na schyłku XV wieku wywiązała się walka pomiędzy mieszczanami a szlachtą. Mieszczanie usuwali się podobno od służby wojskowej, nie pozwalali szlachcie osiedlać się w miastach, a szlachta wzamian wymyśla wciąż nowe zamachy na zyski handlowe kupców.

Począwszy od drugiej połowy XVII-go stulecia, rząd i sejm polski zaniedbują zupełnie stosunki handlowe we własnym kraju, pomimo, że we wszystkich państwach sąsiednich zaczyna się uwidaczniać troskliwość rządów o rozwój handlu. Pierwszy poważny głos w materji handlowej pojawił się u nas w r. 1758, a pochodził od cudzoziemca Mintera de Kolof. Ekonomiści nasi Popławski i Stroynowski poświęcili dopiero później uwagę powyższemu przedmiotowi, ani nie studjowali historji narodów handlujących i nie mieli wyobrażenia o powszechnej historji handlu.

Staszic znowu nie wiele dbał o handel zewnętrzny, a Kołłątaj przedrwiwał sobie z nierozsądnych kameralistów, głoszących protekcję celną, i fiskalne dowcipy. Najznakomitsi też statyści uczeni ówczesnych pokoleń byli więc niepoprawną szlachtą-ziemianami i cała historja finansów i handlu polskiego od końca XV-go w. nie jest niczem innem, tylko systemem fizjokratycznym w najobszerniejszym rozwoju i w najbardziej krańcowej wyłączności.

Tymczasem polityka sąsiadów zgotowała handlowi polskiemu bardzo smutną dolę. Fryderyk II-gi, krańcowy merkantylista, zakończywszy wojny o Śląsk, zwrócił szczególną uwagę na Polskę, przeniknął wady jej ustroju tak politycznego, jak i ekonomicznego i zaczął je wyzyskiwać z żelazną konsekwentnością, bez litości, z dokuczliwem natręctwem i zuchwalstwem. Król pruski nie cofał się przed jakiemikolwiekbądź zasadami, zalał on ziemie polskie dwoma miljonami fałszywych talarów z podobizną Stanisława Augusta, a miasto Gdańsk doprowadził do ekonomicznej ruiny. Zgarniał on z Polski rocznie co najmniej 4 mi-

ljony złotych, a trzy razy tyle zdzierali jego poddani na Polakach.

Fryderyk Wilhelm II-gi zbliżył się nieco do Polski w nadzieji pozyskania Gdańska, ale poważniejszym korzyściom owego złagodzenia stosunków zapobiegły wypadki politycznej natury.

W Austrji za panowania Józefa II-go ustawy celne objawiły także dążność krańcowo protekcyjną, a najkorzystniej stosunkowo przedstawiały się warunki handlowe od ściany rosyjskiej. Katarzyna pragnęła corychlej zaludnić i ożywić puste stepy, okazywała tedy uprzejmą dla kupców cudzoziemskich, a w tej liczbie i dla Polaków opiekę. Co się zaś tyczy stosunków handlowych z Turcją i Szwecją, to nie budziły żywszego zajęcia w epoce Stanisława Augusta. W handlu wewnętrznym znaczny, bodaj przeważny udział brała szlachta i dlatego też zajmował on uwagę królów, sejmów i pisarzy nawet bardziej, niż handel zagraniczny przez kupców miejskich prowadzony.

Interesującemi i cennemi są wiadomości o stanie komunikacyj lądowych i wodnych za Stanisława Augusta, jakie w tomie drugim znajdujemy. Autor przyszedł też do przekonania, że w owej dobie nie można ani szlachty, ani rządu obwiniać o niedbalstwo w tej sprawie. Przyznać nawet trzeba, że dużo zrobiono, ale zawsze jeszcze na Podolu stały ogromne stogi, pastwie robaków, bez sposobu sprzedaży zostawione. Następnie spotykamy się z historją cen zbożowych i chleba, przyczem autor starał się wykazać powody, jakie wpływały na ich podwyższenie lub zniżenie. Potem idą ceny innych artykułów żywności, ceny mieszkań, ceny wyrobów rzemieślniczych i fabrycznych, ceny koni i furażu, a wreszcie ceny pracy ludzkiej.

Przedstawiwszy budżet roczny mieszkańca Polski w końcu XVIII-go w., p. Korzon poświęcił uwagę handlowi zagranicznemu wywozowemu czyli tak nazwanej ewekcie. Znajdujemy też sumienne obliczenie wartości wywozu gdańskiego, elbląskiego a przytem wyliczono wszystkie produkta, jakie były wywożone za granicę. Między rokiem 1780 a 1792, ogólna wartość produktów wywożonych mogła w przybliżeniu wynosić od 110 do 150 mil. złotych. Sumy tej jednak autor nie uznaje za dokładną i pewną, a w pojedynczych latach mogła ona opaść znacznie niżej od oznaczonej dopiero co cyfry.

Z kolei rzeczy przedstawił nam p. Korzon stan handlu przywozowego. Ponieważ od 1773 r. rzeczpospolita utraciła saliny, przeto, jak biadał Staszic, trzeba było cesarzowi austrjackiemu 12 miljonów rocznie za sól płacić. Późniejsze obliczenia przekonały, że wartość wszystkich gatunków wprowadzanej soli dochodziła zaledwie sumy 6,925,666 złp. Prócz tego, kraj musiał płacić za metale, bawełnę, jedwab, sukna, kramarszczyznę, korzenie i aptekarszczyznę, wina węgierskie, francuskie i hiszpańskie, które pochłaniały rocznie z 15 miljonów złotych z naddatkiem, ryby morskie i przedmioty zbytku, czyli fraszek, których sam Tepper posiadał na sumę 28 miljonów dzisiejszych naszych złotych.

W ogóle biorąc, jakkolwiek przewyżka wywozu nad przywozem była niezaprzeczoną, ale po roku 1772 coraz bardziej się zmniejszała i skończyła deficytem wywozu, co budziło poważne obawy i troskę o rozwój ekonomiczny kraju.

Za czasów saskich, w zrujnowanych miastach Polski i Litwy handlu nie było, pozostało tylko kramarstwo. Stan kupiecki wśród mieszczaństwa wytwarzać się poczyna na Stanisława Augusta. Na początku r. 1789-go Warszawa liczyła już 181 większych firm chrześcijańskich, które miały stosunki handlowe z zagranicą, a w tej liczbie nie masz kramarzy, sklepikarzy, przekupniów ani żydów. Autor daje nam wiele szczegółów, odnoszących się do poważniejszych firm, zwłaszcza bankierskich, i zastanawia się nad powodami i przyczynami nagłego ich upadku. Po za Warszawą najpoważniejszą w epoce sejmu czteroletniego była konftraternia kupiecka w Poznaniu (pomijając naturalnie Gdańsk). W aktach komisji skarbu koronnego znajduje się liczba alfabetyczna 53 firm, używających przywileju remissy, czyli odsyłania towarów z granicy wprost do Poznania do rewizji celnej. Inne miasta, jak np. Kraków, Lublin, wreszcie Berdyczów, prowadzący handel z Mołdawią, posiadały niewielką liczbę kupców i bankierów, a i ta mała liczba składała się prawie wyłącznie z cudzoziemców.

Jedną z pierwszych czynności Stanisława Augusta, po wstąpieniu na tron, było otrzymanie na początek od sejmu prawa bicia monety i urządzenia mennicy. Sejm z r. 1766-go oznaczył zarazem stopę menniczą, a kanlerz Zamoyski wysnuwał najlepsze co do przyszłości nadzieje. Nie ziściły się one bynajmniej, albowiem moneta srebrna okazała się zbyt dobrą i znikała z tego powodu za granicą kraju. Wogóle za Stanisława Augusta wybito złotej, srebrnej i miedzianej monety w ilości blisko 131 miljonów złp. Prócz tego z uniwersału komisji skarbowej (1787) przekonywamy się, że w obiegu znajdowało się monet zagranicznych 30 gatunków srebrnych i 24 złotych. Przypuścić zatem należy, że na ogół wszelkiej monety, na początku panowania Stanisława Augusta, musiało krążyć przynajmniej do 300 miljonów złp.

Ruina ekonomiczna miast polskich datuje się od czasu najazdów Karola X-go i XII-go.

Na sejmie konwokacyjnym w r. 1764-tym prymas oświadczył, że w miastach polskich miast szukać potrzeba: co ulica to pole, co rynek to pustki. W takim stanie rzeczy żaden przemysł utrzymać się nie zdołał, a niedogodności, wypływające z braku przemysłu, zrozumieli najprzód panowie polscy, którzy właśnie najcięższy haracz fabrykom zagranicznym opłacali, a w ogromnych dochodach mogli znaleźć kapitały, potrzebne do tworzenia większych zakładów przemysłowych. Pierwsza zachęta do pracy w tym kierunku wyszła w r. 1748-ym od biskupa Załuskiego, który w obszernych dobrach swego biskupstwa założył fabryki żelazne.

Musimy z konieczności pominąć ciekawy i cenny materjał, jaki do historji rozwijającego się u nas przemysłu zgromadził p. Korzon, zaznaczyć jedynie należy, że za Stanisława Augusta nie było bodaj ani jednego rodu pańskiego, któryby się jakiejś fabrykacji nie imał. Nawet Poniński, ów zdemoralizowany gracz i utracjusz, wyrabiał żelazo w wielkim piecu pod Dryłowem i miał jakieś fabryki bomb i kul. Król czynił wszystko, ażeby podtrzymać inicjatywę prywatną i nie opuścić żadnej sposobności, aby zapewnić rozwijającemu się przemysłowi fabrycznemu pomoc władz państwowych, lub materjalną, z kieszeni własnej.

Zebrawszy skrzętnie ślady istnienia wszelkich fabryk, powstałych w Polsce za panowania Stanisława Augusta, musiał wystąpić w tomie drugim z opisem miast, w którym figuruje: Mińsk, Wilkomierz, Kowno, Nieśwież, Grodno, Wilno, Żytomierz, Dubno, Berdyczew, Kamieniec, Mohylów nad Dniestrem, Tulczyn, Lublin, Kazimierz nad Wisłą, Sandomierz, Kraków, Wschowa, Rawicz, Zduny, Oborniki, Poznań, Kalisz, Piotrków Trybunalski, Białystok i wreszcie Warszawa. Następnie skreślił pr. Korzon dzieje sprawy miejskiej na sejmie czteroletnim, poświęcił uwagę prawu p. t.: „Miasta nasze królewskie wolne“ i w ostatnim rozdziale zastanowił się nad ogółem bogactwa narodowego za panowania Stanisława Augusta. Po skupulatnych obliczeniach, pr. Korzon przyszedł do przekonania, że cyfra 6 miljardów w kapitale, a 300 milj. w dochodzie, będzie najbardziej odpowiadała rzeczywistości.

Na tem kończę sprawozdanie z tomu drugiego „Dziejów wewnętrznych w Polsce“ prof. Korzona. Winienem zaznaczyć, że w tomie drugim dostrzedz łatwo daleko większą jasność wykładu i większy ład w uporządkowaniu bogatego materjału faktycznego, aniżeli miało to miejsce w tomie pierwszym. Niektóre rozdziały można nawet czytać z prawdziwem zajęciem, i z łatwością daje się także czytelnikowi przyswoić ostateczny rezultat badań autora. Zresztą wysokie przymioty prof. Korzona, jako historyka, które zaznaczyłem w tomie pierwszym, występują na jaw — prawie na każdej stronicy tomu drugiego. Zajmować się niemi obecnie nie potrzebuję i jedynie wspomnieć mi należy illustracje archeologiczne, które w imponującej obfitości i we wzorowej reprodukcji zapełniają tom drugi.

Wspaniałe zabytki architektury w Gdańsku, Poznaniu, Krakowie, Warszawie i t. p., znakomitsze fabryki, nowozałożone fortyfikacje Kamieńca, wyroby fabryk porcelany, pasów litych mennicy krajowej, obrazami wszystkich tych, ciekawych rzeczy przyozdobił prof. Korzon tom drugi „Dziejów wewnętrznych“ i zaskarbił sobie ogólną wdzięczność wydawnictwem cennem i wszechstronnie pouczającem.

(Kurjer Warsz.) *A. Rembowski.*

SALUSIA.

(Ciąg dalszy).

Że do zadania swego zapalać się nie mógł, to mu łatwo wybaczyć można, gdy się rozważy, iż do całej gromady polskich dzieci, które miał w klasie nie wolno mu było słowa w ich ojczystym języku przemówić. Żądanie było nad siły ludzkie a na dobitek miał w swoim okręgu niezmiernie gorliwego inspektora, który często szkołę najeżdżał i nadzwyczajnych postępów zwłaszcza w niemieckim języku się domagał. Nauczyciel korzył się przed nim jak niewolnik przed sułtanem, drżał na jego skinienie i po każdych takich odwiedzinach wpadał w pedagogiczny ferwor, którego innemi środkami jak częstem i silnem użyciem trzciny objawić nie umiał. Czuł się zresztą znienawidzony przez dzieci, a starsze z nich, śmielsze, zwłaszcza swawolni chłopcy z obu oddziałów—dokuczały mu nie mało.

Żył więc w ciągłem rozdrażnieniu i rozjątrzeniu — dochodził do najwyższego stopnia nerwowego rozstroju i czasem sam naprawdę nie wiedział, co mówi i robi. Tem bardziej go to męczyło, że inspektor nigdy zupełnie zadowolniony klasy nie opuszczał, bo i istotnie dzieci postępów nie robiły. Dzięki temu nadzieja awansu lub podwyższenia pensji wciąż się przed nim w coraz dalszą przyszłość cofała, co go do desperacji doprowadzało. Miał on w obec rządu dawniejszy grzech na sumieniu,

który wciąż daremnie zmazać usiłował. Był on niegdyś za młodu Polakiem i nie krył się z tem. Wskutek tego dano mu najpierw posadę w głębi Niemiec, dokąd z bolem serca przenosić się musiał. Jemu samemu było trochę obco, i nie miło, a żona tak odczuła zmianę otoczenia, że wprost rozchorowała się z tęsknoty za krajem. Słał jedno za drugiem podanie do wyższej władzy, powołując się na świadectwa lekarzy i prosząc o translokację, aż nareszcie życzenie jego uwzględniono i dano mu zajęcie przy szkółce elementarnej w ks. Poznańskiem. Od tej pory jednak władza szkolna miała go na oku, kontrolowała ściśle, częstych udzielała nagan, wreszcie po kilku latach ciągłych przyczepek i prześladowań zmiarkował o co chodzi, i jaknajgorliwszego Prusaka udawać zaczął. Zrobił nawet podanie do władzy, żeby jego nazwisko Kociński na Katze zamieniono i od tej pory łagodniejszego trochę traktowania doznawał. Był nawet dość pewny szybkiej i pomyślnej karjery, gdy po śmierci inspektora powierzono nadzór nad jego okręgiem młodemu niemieckiemu obywatelowi, który będąc w dość lichych interesach marzył o otrzymaniu korzystnego urzędu państwowego i usiłował zwrócić uwagę rządu na swą patrjotyczną działalność. Tak więc pan Jammer dla wybicia się w górę gniótł pana Katzego, a pan Katze usiłował się drapać na wyżyny po plecach biednej dziatwy polskiej, w szczególności zaś małej kowalówny której ojciec znany był w parafji jako Polak zabity.

Salusia nie dużo o tem wszystkiem wiedziała, czuła jednak tak dotykalnie na własnej skórze ucisk pruskiej prowincji, tyle się o nim nasłuchała w ojcowskiej chacie, że wprost na dźwięk niemieckiego języka dreszcz ją przechodził.

Kiedy raz wśród zabawy jeden ze zdolniejszych uczniów dla zaimponowania towarzyszom po niemiecku komenderować im zaczął i krzycząc „Vorwärts“ dał hasło do gonitwy, wszyscy hurmem rzucili się na niego i sprawili mu dobre cięgi, a przezwisko: „forwerca“ odtąd stale do niego przyrosło. Oddać mu można tę sprawiedliwość, że starał się usilnie grzech swój okupić, że zaś był zdolny i w szkole największe stosunkowo postępy robił, t. j. najzręczniej brzmienie niemieckich wyrazów chwytał, choć sensu ich nie pojmował, więc jak mógł pouczał kolegów, żeby ich od kar i nagan uchronić.

Często bardzo uciekała się do jego pomocy Salusia, choć z małym skutkiem, bo miała właśnie taką naturę, że ani rusz spamiętać nie mogła dźwięków, które dla niej znaczenia nie miały.

— Walusiu -- pytała uprzejmie — powiedz mi jeno, jak to ja mam mówić, kiedy do szkoły wejdę albo nauczyciela spotkam?

— Gielob — zaj Jezus Chrystus — pouczał ją Waluś.

— Galop za Jezus Chrystus — powtarzała raz po razie idąc do szkoły, żeby swój język do niemieckiego pozdrawiania nałamać. Zwykle po za to jej ambicje nie sięgały i tak na progu klasy język jej się plątał.

— Po co też to te Miemcy Pana Jezusa do swych praktyk mięszają, zauważyła jedna pobożna dziewczynka.

— Ty tego nie rozumiesz, — pouczał wszech wiedzący Waluś — to ich „gielob zej Jezus Chrystus“ to jest to samo, co nasze: „Niech będzie pochwalony“.

— Że nie to samo, to nie — zaprzeczył, któryś z chłopców — takie szwabskie gadanie, to się przecie Panu Jezusowi podobać nie może.

— Pewnie, że nie — powtórzono.

— Przecież chyba i Niemców i ich mowę też pan Bóg stworzył — zagadnęła z pewnem wahaniem jedna z dziewcząt.

Zaczęło się roztrząsanie na temat, kto Niemców stworzył. Jedni powołując się na powagę księdza proboszcza twierdzili, że są oni tak samo jak wszelkie żyjące istoty dziełem wszechmocy boskiej, inni powątpiewali, inni znów przechodzili stąd do kwestji, kto stworzył myszy, ropuchy i różne brzydkie robaki. Po wielu rozprawach większość doszła do wniosku, że Niemców stworzył wprawdzie Pan Bóg, ale ich język to już chyba oni sami wymyślili. W tych dyskusjach Salusia nie brała udziału. Nie formułowała jasno swych myśli, ale miała to poczucie, że Pan Bóg nie jedno złe na tym świecie dopuszcza, nie jedno cierpienie na ludzi zesyła i niejednem nawet ją nieboraczkę przygnębił. Przypomniała sobie wszystkie szkolne plagi, przypomniała trzy trumienki, które już za jej pamięci z chaty wyniesiono i miała w duszy gotowe żałosne pytanie. „Panie Jezu, za co mnie tak gnębisz? czemu niemasz żadnej na tym świecie uciechy“. Naraz jednak stanęła jej w myśli kolebka braciszka i wielka radość, która po jego urodzeniu w chacie zapanowała. Przed kilku bowiem tygodniami znów błogosławieństwo Boże obdarzyło Śmiglów chłopakiem, któremu ojciec imię Stefana wybrał. Mały Batory dość krzepki na ten świat przywędrował i krzyczał głośno, stał z apetytem, więc znowu zajaśniała dla kowala nadzieja, że może tęgiego Polaka krajowi wychowa. Kochał go niezmiernie, ale mówił o nim mało — jak gdyby się obawiał, żeby jego zwykłe przechwałki i temu niebożątku jak i jego braciom nieszczęścia nie przy niosły.

Salusia również bardzo była przybyciem braciszka uszczęśliwiona. Byłaby go chciała przez dzień cały kołysać i piastować. Bawiła

się nim jak lalką, ale mało miała na to czasu w dni powszednie.

Teraz jednak, gdy przypomniała sobie jego pulchną buzię — rozpogodziła się nieco i ta słodka myśl, że po powrocie w domu go zobaczy, sprawiła jej niejaką ulgę. Do powrotu jednak jeszcze kilka godzin, a tu szkoła już blizko. Droga ją zmęczyła, pot spływał jej strumieniem po czole — ciężko jej było chodzić i trudno zdążyć za drugich w jej ciepłem ubraniu. Jakże chętnie byłaby siadła pod gruszą przy drodze i wypoczęła w chłodzie — ale i na to czasu nie było. Trzeba iść dalej. I znowu pod wpływem słyszanej rozmowy i swych własnych rozpamiętywań wpadła na myśl osobliwą: „Czy też nauczyciel był kiedy taki maluśki, jak nasz Stefek?“ Pewnie musiał być taki, pewnie i jego matka na ręku nosiła, do piersi przytulała, — kołysała! — Eh, nie, to niemożliwe“. — Zaczęła sobie na ten temat snuć jakieś obrazy, gdy nagle spostrzegła, że już przed budynkiem szkolnym stanęli.

Hurmem weszli do klasy. — „Galop za Jezus Chrystus“ — krzyknęło naraz kilkanaście dzieci i szczęściem w tej wrzawie niewyraźny okrzyk Salusi przytłumiony został. Ale nagle strach ją ogarnął. — Przy nauczycielu stał inspektor.

Dzieci zajęły miejsca w ławkach i zaczęła się lekcja, a raczej rodzaj egzaminu. Salusia zmęczona, potem zlana nie wiedziała dobrze co się w około niej dzieje. Odpoczywała. Chciała, bardzo szczerze chciała uważać, ale to się na nic nie zdało, bo nic nie rozumiała.

Wpadła więc w jakiś rodzaj marzenia, snuł jej się w głowie dalszy ciąg poprzednich myśli — miała wciąż przed oczyma małego braciszka. Siedziała w klasie ale jej dusza była w chacie ojcowskiej. Naraz zbudził ją głos inspektora, który stanął tuż przed nią i jakieś pytanie jej zadał. Drgnęła, zerwała się z miejsca, otworzyła usta i machinalnie zawołala „Stefek!“ W tej chwili oprzytomniała. Spostrzegła, że stało się jakieś głupstwo, ale nie miała czasu zastanowić się nad niem. Inspektor się zdumiał i spojrzał na nauczyciela: „Co to jest? co ona mówi?“ pytał po niemiecku.

Czasami, gdy dzieci chórem na pytania odpowiadały udawało się Salusi i nie jednemu z jej towarzyszy omylić nauczyciela w ten sposób, że nie mogąc niezrozumiałej odpowiedzi powtórzyć — wymawiały głośno pierwszy lepszy wyraz naśladując akcent słów słyszanych. Mała Śmiglówna dość często uciekała się do tego sposobu i były to też jedyne jej odpowiedzi, które w braku kontroli za dobre uchodziły, bo nauczyciel pojedyńczych głosów rozróżniać nie mógł więc zadawalniać się musiał tem, że wraz z innymi usta otwiera i krzyczy.

Tym razem jednak osobiście zagadniętą została, a pogorszył jej położenie fakt, że kilkoro dzieci spostrzegłszy pomyłkę mimowoli śmiechem wybuchnęło.

Nauczyciel zaambarasowany przez chwilę, naraz wpadł w pasję. Przyskoczył do Salusi potrząsł za ramię i jaknajgłośniej zapytanie inspektora powtórzył. Na nic się to nie zdało. Dziewczęciu łzy stanęły w oczach, ale nie odpowiadała, bo nie rozumiała, o co chodzi.

— Czy nie rozumiesz co do ciebie mówię? — zapytał po niemiecku inspektor.

Pytanie to, tak często słyszała w klasie, że znała jego znaczenie.

Potrząsnęła głową przecząco i odpowiedziała: — „Naj“ — miało to być niemieckie „nein“. Inspektor zwrócił się teraz do nauczyciela:

— Jak dawno to dziewczę chodzi do szkoły?

— Półtora roku — odpowiedział.

— Ależ ona nie rozumie ani słowa po niemiecku — mówił inspektor.

— Tak źle nie jest panie inspektorze — tłómaczył się nauczyciel pokornie; wszakżeż ostatnie słowa pańskie pojęła i odpowiedziała na nie. Dziewczyna jest tylko zawzięta i uparta. Mam z nią ogromną biedę.

Inspektor spojrzał niedowierzająco i poprowadził Salusię do ściany, na której rozwieszono obrazki do nauki poglądowej służące:

— Was ist das? pytał wskazując jeden przedmiot po drugim. Salusia milczała. Usiłowała przypomnieć sobie dźwięki, które już dość często słyszała i nieraz chórem za innemi powtarzała dziećmi, ale tak jej się te niewyraźne przypomnienia pomięszały w głowie, że na żaden wyraz zdobyć się nie mogła.

— Nie, panie, ona nic nie umie; jestem tego zupełnie pewny. Dzieci czas tracą w pańskiej szkole. — Nauczyciel milczał — a inspektor rozprawiał o ważnem znaczeniu nauki niemieckiego języka, o zadaniu szkoły pruskiej, które barbarzyńskie pokolenie polskich chłopów na ucywilizowanych tj. na zniemczałych ludzi ma przerabiać. Skończywszy orację pożegnał się i wyszedł, a nauczyciel mocno zirytowany powrócił do lekcji.

W czasie następnej godziny wezwał Śmiglówną do tablicy. Dziewczyna szła jak na ścięcie, bo czuła, że tym razem najmniej na cierpliwość nauczyciela liczyć może. Nie omyliła się bynajmniej. Katze kazał jej mnożyć liczby i zapisywać to działanie na tablicy. Powtarzała za nim wyrazy drżącym głosem, wypisywała cyfry, ale nie rozumiejąc ich znaczenia ciągle robiła pomyłki. Zamiast 4 napisała pięć, zamiast trzech ośm, a za każdym błędem obrywała klapsy. Wreszcie nauczyciel rozjątrzony widząc, że cała ta praca na nic się nie zda, a nie chcąc i nie mogąc po pol-

sku zadania objaśniać, chwycił ją za włosy i po prostu rzucił o tablicę. Pęk włosów dziewczęcia pozostał mu w rękach, a Salusia padła z jękiem na ziemię, na nią zaś zwaliły się sztalugi razem z tablicą. Kilka uczniów bliżej siedzących wybiegło z ławki, niby chcąc ustawić sztalugi właściwie jednak chodziło im o udzielenie pomocy dziewczęciu. Biedaczka istotnie sama podnieść się nie mogła. Doznała silnego wstrząśnienia i bolu, a uderzenie w prawą skroń było tak silne, że oko krwią jej nabiegło.

Nauczyciel sam przeraził się jej widokiem i chcąc go jaknajprędzej usunąć z przed oczu. rozkazał chłopcom, aby ją — niby za karę — za drzwi wyprowadzili.

— Nie zostawiajcie mnie tu. prosiła, gdy ją na progu posadzić chcieli, trochę dalej! jeszcze troszeczkę dalej!

Zaprowadzili ją pod drzewo, a jeden z nich przyniósł jej dla ochłodzenia kubek wody ze studni.

Musieli jednak powrać. i Salusia została sama.

W głowie jej szumiało, położyła się na trawie i byłaby chciała zasnąć ale nie mogła. Serce jej biło gwałtownie, drgania nerwowe podrzucały całe ciało.

(Dok. nast.) *Moszczeńska.*

Terytorjum Litwy przedhistorycznej.

Badania w zakresie geografji historycznej słowiańskiej dotąd są jeszcze w stanie pierwotnym. W czasach ostatnich pseudo-naukowe poglądy i metody jeszcze więcej zachwaściły tę niwę. Badacze dawnej słowiańszczyzny, gwoli nowym metodom, niby naukowym, zapominają o dawnych źródłach. Gorzej jeszcze rzecz się ma z badaniami starożytnych dziejów litewskich: dotąd np. nawet w przybliżeniu nie znamy obszaru terytorjum, zajmowanego przez dawną Litwę. Nowe zupełnie światło rzuca na tę kwestję niedawno ogłoszona praca prof. odeskiego uniwersytetu p. Koczubińskiego, p. t. „Terytorjum Litwy przedhistorycznej“.

Badania swe uczony profesor opiera wyłącznie na materjale lingwistycznym, przeważnie na nazwach miejscowych. W historjografji rosyjskiej przyjęto obecnie za aksjomat, że naród litewski, początkowo bardzo nieliczny, zajmował przestrzeń nad brzegami Niemna od ujścia Wilji. Prof. K. stawia pytanie, czy obecna granica litewszczyzny pozostała niezmienioną od czasów przedhistorycznych i czy istotnie Litwa zawładnęła ziemiami ruskiemi? Celem rozstrzygnięcia tego pytania, a mianowicie dla wykreślenia granicy południowej dawnej Litwy, antor bada terytorjum obecnej gubernji mińskiej, uważanej za kraj ściśle białoruski.

Zwłaszcza wśród nazw rzek i jezior prof. K. znajduje tu dużo takich, które mają litewski początek, jak: nazwa jeziora Pelik, z którego wypływa Berezyna, pokrewna litewskiemu *pełkis* — błoto; morogi, lit. *margus*; uła, lit. ula (skała): świda, lit. swiches bobr — babrus; szara — sauras (wązki); wilis — wilnis (fala) i t. d.

Po zanalizowaniu nazw rzek i jezior, autor dochodzi do wniosku, że w obecnem centrum Białej Rusi — w gubernji mińskiej, w prawieku żyło plemię litewskie, aż do Dniepra do ujścia Berezyny. Gubernje witebska i wileńska do dziś dnia nie straciły swych praw na przynależność do etnograficznej Litwy, tak samo, jak miejscowości obecnej gubernji grodzieńskiej. Granice więc Litwy w prawieku były następujące: od południa — północne dorzecze Prypeci, od wschodu — dorzecze Berezyny, od zachodu — górny bieg Narwi, a nawet Bugu.

Może jednak kto zarzucić, dodaje prof. K, że takie określenie terytorjum litewskiego nie zgadza się ze świadectwem Nestora, który mówi: „a drudzy siedzi między Prypecią i Dźwiną i nazwali się Dregowiczami . . . tak rozszedł się naród słowiański“. Świadectwo Nestora, według zdania profesora K., wskazuje, że słowianie w tej ziemi nie byli ludnością rdzenną, lecz tylko napływową. Dlaczegoż jednak tak się dziwnie nazwali Dregowiczami. Nazwa ta może być wytłómaczoną li tylko z języka litewskiego: *dregnas* znaczy wilgotny, widocznie więc słowiańscy koloniści zastali pomiędzy Prypecią i Dźwiną litwinów, którzy w języku swym nazywali się mieszkańcami wilgotnych miejscowości i błotnistych równin.

W ten sposób w historycznem zaraniu te błotniste terytorjum Dregowiczów przedstawiało obraz ludności mieszanej złożonej ze słowian i litwinów. Badania lingwistyczne potwierdzają świadectwo Nestora i wskazują nam, że szczep litewski zajmował w prawieku ogromne terytorjum, z którego wypierał go stopniowo szczep słowiański i ten prąd nie ustał jeszcze i w naszych czasach. *S P.*

Kolektywizm Lamprechta w historjozofji.

(Ciąg dalszy)

Zwrot, jaki się objawił w historjozofji, może być uważany za objaw poszukiwania ściślejszych związków przyczynowych. Rozpatrywać bowiem stosunki fizyczne, ekonomiczne, życie ludzi pospolitych, znaczy szukać silniejszych przyczyn rozwoju ludzkości, w przekonaniu, że charakter, czyny ludzi u steru władzy stojących, znakomitych artystów, wynalazców zasadzie przyczynowości zadość nie czynią a co najmniej nie są ostatniemi przyczynami zmiennemi niezależnemi. Z tego punktu widzenia, kolektywizm nabiera prawdziwie naukowego znaczenia. Stoimy dzisiaj wszyscy pod hasłem historji genetycznej, nawet indywidualiści. Historja zaś w ten sposób pojęta wymaga koniecznie wprowadzenia pojęcia gatunkowości. Biorąc n. p. stronę moralną w dziejach, nie możemy brać miary z poszczególnych jednostek lecz z całych grup ludzi. Herostratów możemy znaleźć wszędzie i w każdym czasie, dane jednak społeczeństwo może się odznaczać bezprzykładnym patrjotyzmem. Ponieważ zaś to, co istnieje, wszystkie funkcje społeczne opierają się na nieprzerwanej ciągłości rozwoju, nie tworząc dziedziny jakichś wolnych czynów, kolektywizm musi się wydać koniecznym — pojęcie historji genetycznej niesie ze sobą kolektywizm. I dziwnem musi się wydać, jak Bernheim stojąc na gruncie historji genetycznej, zwraca uwagę szczególną na to, co odznacza się indywidualizmem, odrzucając wysnuwanie z nich pewnych typów, dlatego, że to tchnie naukami przyrodniczemi. Zdaje się, że słusznie należałby się wszystkim tym, co się tak zapatrują, przydomek „wrogów przyrody“.

Kolektywizm Lamprechta ma jedną jeszcze osobliwą wartość, co się tak zapatrują, a tą jest wstrzymanie się od podnoszenia pewnych czynników, lub jak Lamprecht chce, pewnych społeczno-psychicznych sił ponad drugie. Buckle, Bourdeau (Historja i historycy tłom. pol. 1889) uważają rozum, siły intelektualne za zmienną niezależną, motor w historji, Marks, stosunki wytwórcze, indywidualno-polityczny kierunek, obyczajowo-moralne strony i nie możemy przyjąć jednak żadnego z tych twierdzeń za ściśle udowodnione. Nie możemy bowiem zaapelować do eksperymentu t. j. do woli naszej, któraby powtarzając cały szereg wypadków, mogła wykazać, że skoro odejmiemy którykolwiek z powyższych czynników, wszelki rozwój ustanie. Nie możemy też zmierzyć lub zważyć doniosłości pewnych faktów, następnie ich pewne na razie mniemane przyczyny, po których wzajemnem porównaniu okazałoby się, czy przyczyny te wystarczają na wywołanie takich właśnie faktów lub czy są za małe. Metoda ta ma wielokrotne zastosowanie w naukach przyrodniczych, do jakiej doskonałości zaś doszła, świadczy sprawa z wynalezieniem argonu. Chemiczny skład powietrza badano od 100 lat i oznaczono wreszcie stosunek tlenu i azotu oraz zmienną ilość innych domieszek. Przekonano się jednak że gęstości azotu z powietrza nie odpowiada gęstość azotu wydobywanego ze związków chemicznych. I chociaż różnica wynosiła ledwie 0·004 gęstości azotu atmosferycznego, niepokoiło to badaczy a rezultatem badania było odkrycie argonu, gazu od azotu cięższego. Odkrycie więc argonu, mówi Kramsztyk, jest to tryumf trzeciej cyfry dziesiętnej — w historji zaś nie doprowadzamy do tryumfu milionów wartości. Znaczy to, że nie mogąc wogóle obliczyć wartości czyto pewnych czynników, czyto całych stanów środkami objektywnymi, nie mamy podstawy najmniejszej do oceniania wyżej pewnych czynników od innych i tu leży ta wysoce racjonalna strona kolektywizmu Lamprechta oceniania wszystkich sił społeczno-psychicznych równomiernie.

Na podstawie tego samego, nie możemy wyliczyć nawet wszystkich przyczyn. Skąd możemy być pewni, że gdy wyliczamy przyczyny rewolucji francuskiej — żadnej nie brakuje? czy właśnie najdonioślejszej nie pominęliśmy. Kolektywizm stara się tym warunkom zadośćuczynić, szkoła indywidualno-polityczna jednak wysuwa zawsze na pierwszy plan jednostki, wybitne noty dyplomatyczne, jako motywa najsilniejsze. Bobrzyński n. p. którego „Dzieje Polski“ mają pewne pretensje do genetycznego zakroju pisze o Mieszku I. i Bolesławie Chrobrym: „Znieśli oni wszelki ślad samoistnego bytu szczepów i ludów, mianowicie zgromadzenia republikańskie, wiecowe, zacierali nawet ich terytorjalne granice, przerzucali ludność z jednych okolic w drugie, mieszali je ze sobą nawzajem a całe państwo celem lepszego zarządu podzielili na drobne pawiaty, na których czele postawili urzędników, przez siebie mianowanych i ślepo od siebie zależnych. (Wyd. II. T. I. S. 106). Bierzemy tu pierwszy lepszy przykład, któryśmy zaraz z początku znaleźli. Ewolucja społeczeństwa polskiego nie dokonałaby się w tym kierunku bez tych dwu wybitnych mężów. „Szczęśliwe ludy, że znalazły tak wielkich duchem swojej energji a tak miłujących je ojców, jakimi byli Mieszko i Bolesław Chobry (S. 112). Pomijając już to, że to trochę na romans zakrawa, w jak olbrzymią siłę indywidualną, kosztem innych czynników, wyposażył dwie te postacie autor! A przecież, gdyby tylko wziąć na uwagę ustrój patrjarchalny, brak

własności prywatnej, który właśnie w owym czasie drogą dzierżaw wieczystych zaczął ustępować, większe wojny zewnętrzne, które pomogły mieszaniu się szczepów słowiańskich zbliżając je ku sobie, zrozumiemy łatwo, że działalność Mieszka I i Bolesława Chrobrego jest raczej wyobrażeniem urzeczywistnienia się wszystkich tendencji, dążących do przekształcenia Polski ówczesnej — nigdy zaś zmienną, niezależną siłą. Chrobry był funkcją swojej epoki nigdy zaś epoka — jego.

Historja genetyczna nie mogąc oznaczyć wartości, znaczenia poszczególnych czynników, nie może podać ich ilości, czyli nie może być genetyczną w objektywnem znaczeniu tego słowa t. j. przedstawieniu rozwoju, wynurzania się pewnych społecznych funkcji, dążności w taki sposób, jak niegdyś rzeczywiście miały miejsce. Artystycznemu przedstawieniu rzeczy, twierdzi wielu a między innymi i Lamprecht, może się udać przez zręczne ułożenie treści, niesłychaną komplikację przyczyn i skutków dosyć wiernie oddać i „w tym wypadku jest ono bardziej umiejętne, niż umiejętność sama“. Jest to parodoks — od umiejętności nie może być nic bardziej umiętnego. Zręczne przedstawienie rzeczy jest zawsze tylko zręcznem przedstawieniem, które może w danym podmiocie i w danej chwili wywołać zupełne poczucie prawdy, u ogółu jednak nigdy. Jeżeli zaś weźmiemy objektywizm za zasadniczy warunek wszelkiej umiejętności, to historja genetyczna, z takiemi metodami, jakiemi się osobliwie indywidualiści posługują, historją genetyczną nigdy nie będzie a temsamem umiejętnego stopnia nigdy nie osiągnie.

II.

Na innem miejscu (Znaczenie antropogeograficzne rozwoju wybrzeży. Wszechświat T. XV S. 291) wykazałem, że wpływ czynników pierwotnych (klimat, własności terenu) odpowiadających naturalnym Lamprechta, z biegiem czasu słabnie w tym stosunku, w jakim wzrasta wpływ pochodnych (społeczno-psychicznych). Nazwy, czynniki pierwotne, pochodne wziąłem ze socjologii Spencera: dowody dedukcyjny i indukcyjny przytoczyłem w powyższem czasopiśmie. Myśl tę podjął pierwszy Karol Ritter wyrażając ją w ten sposób, że wpływ natury się obniża; powtarzało ją następnie wielu autorów między innymi i Reclus w Nouvelle Géographie universelle. Ratzel usiłuje jej zaprzeczyć w „Antropogeografji (T. I. S. 86) powołując się na Anglję, Belgją, Niemcy, których to państw kultura jest obecnie daleko bardziej zawisłą od pokładów węgla i żelaza, niż przed 100 laty. Zapomina on jednak, że węgiel i żelazo dodają Anglji miljony rąk roboczych, że poruszają koleje, parowce etc., czyli znoszą w odpowiednim stosunku przestrzeń, podnoszą wytwórczość pojedyńczego człowieka cały więc zapas węgla i żelaza, wydobywany w Anglii zużyty zostaje na obniżenie czynników pierwotnych w rozmaitych kierunkach.

Tenże sam zresztą autor, w innem dziele (Völkerkunde I, S. 10) stojąc w sprzeczności ze sobą, wyraźnie zaznacza, że ludy na pierwotnym stopniu cywilizacji stojące, są zależniejsze od przyrody ziemi, niż ludy o wyższej kulturze.

Nie będę więc przytaczał tu nowych dowodów, co jest tak ogólnie przyjętem, chodzi jednak o dokładny stosunek odwrotny, jaki zachodzi między czynnikami pierwotnymi a pochodnymi. Każdę pochodną, czyto wynalazek jaki, czy założenie nowej fabryki, linji kolejowej, oceniamy wedle tego, jaką one korzyść człowiekowi przynoszą, zatem czynniki pierwotne niepomyślne robią pomyślnymi a pomyślne jeszcze pomyślniejszymi. Jasną więc jest rzeczą, że o ile cały obecny stan nauk, sztuk, przemysłu, handlu, będąc takim systemem czynników pochodnych wzrósł, o tyle zmniejszył się wpływ czynników pierwotnych. Wynika z tego, że suma wszystkich wpływów począwszy od ciepła słonecznego aż do wpływu najgłupszego człowieka pod słońcem jest w każdym czasie stała. Ludzkość więc wyzwalając się z pod wpływów przyrody wcale nie pomnaża swej dozy szczęścia w absolutnem znaczeniu, gdyż wyzwolenie to pociąga za sobą rozmaite ograniczenia indywidualizmu jednostek, konieczność przystosowania się do nowych warunków bytu, która niejednokrotnie jest połączona ze szkodą organizmu, czyli poprostu mówiąc, z deszczu dostajemy się pod rynnę. Na odwrót też jednostki przeciętne nie mogą myśleć o wyzwoleniu się z pod wpływu choćby pewnych tylko czynników pochodnych działa na nie zawsze stała suma wpływów, o ile wyzwoliłyby się z pod wpływu czynników pochodnych o tyle wpadłyby w zależność pierwotnych. Gdybyśmy chcieli obrazowo sobie to przedstawić, pomyślmy sobie punkt pewien, oznaczający nam położenie masy szczęścia, dokoła której ludzkości grawituje. Staramy się ciągle zbliżyć do niej a nigdy nie możemy z powodu wpływu pochodnych lecz i z drugiej strony nie możemy się też oddalić. Byłby więc to ruch kołowy — siłą zaś powodującą go, egoizm, którym bezwątpienia jest tem, czem jest siła ciężkości w przyrodzie.

(Dok. nast.) *Benon Janowski.*

Z drukarni Z. Goloba we Lwowie